

Wywiad z prof. Pawłem Rudnickim

DOI: <https://doi.org/10.14394/etyka.1372>

 Anna Kola, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Wywiad z dr. hab. Pawłem Rudnickim, prof. Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW we Wrocławiu, na temat zjawiska wykluczenia, badań w tym obszarze oraz praktyki walki z problemem wykluczenia, jak również autorskiej książki pt. *Kto, jak nie my? Wspólnota i działanie na Dworcu Głównym we Wrocławiu (Marzec-Kwiecień 2022)*, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, seria „Poza Kulturową Oczywistością”, Wrocław 2023, ss. 183

Anna Kola: Twoja najnowsza autorska książka pod znaczącym tytułem *Kto, jak nie my* poświęcona jest pedagogiom pomagania, wolontariatowi, opiece nad osobami w kryzysie wojennym. Pojawia się tu wiele problemów i kontekstów, ale naszą rozmowę chciałabym zacząć od tematu miejsca. Badania opisane w książce prowadzone były na Dworcu Głównym we Wrocławiu. Ten niezwykle dworzec znalazł się także w tytule pracy. Proszę o wyjaśnienie, dlaczego właśnie to miejsce użyteczności publicznej wybrałeś jako przestrzeń realizacji badań. Co ciekawego tam dla siebie jako osoby i badacza znalazłeś? Pojawia się też pytanie ogólne – jak przestrzeń łączy się z wykluczeniem oraz czy i w jaki sposób istnieją miejsca wykluczenia?

Paweł Rudnicki: Wytlumaczę się z wyboru miejsca, ale potrzebny jest też czas zdarzenia. Badania prowadziłem w marcu i kwietniu 2022 roku, czyli w epicentrum migracji wojennej Ukrainek i Ukraińców, wywołanej przez wybuch pełnoskalowej wojny między Rosją a Ukrainą. Dworce i inne miejsca publiczne, takie jak Dworzec Główny we Wrocławiu, stały się hubami transferującymi całe rzesze ludzi uciekających przed wojną.

Najważniejszym węzłem był wówczas naturalnie Przemysł, z którego pociągi i autobusy uchodźców przekierowywano do innych miast Polski. Dziś możemy już jasno stwierdzić, że takimi miejscami przyjmującymi masowo uchodźców wówczas były właśnie Warszawa, Wrocław, Poznań, Gdańsk, Kraków, czyli wielkie polskie miasta, z których Ukraińcy jechali następnie w Polskę lub do Europy i dalej.

A.K.: Wróćmy może do kwestii miejsca, czyli Dworca Głównego we Wrocławiu...

P.R.: Mieszkam we Wrocławiu i dworzec Wrocław Główny jest integralną częścią mojego życia. Przez lata moje mieszkanie mieściło się koło dworca, część mojego doktoratu została nagrana na Dworcu Głównym, a konkretnie wywiad z działaczem z Solidarności kolejarskiej z lat osiemdziesiątych, a tym razem na początku marca 2022 roku pojawiłem się tam jako wolontariusz, by odpowiedzieć na pewną społeczną potrzebę. Zacząłem pojawiać się na dyżurach wolontariackich na rzecz uchodźców z Ukrainy i już od pierwszego momentu widziałem, że nie ma tam nikogo, kto dokumentowałby wszystko, co się dzieje, a okazało się, że jest mnóstwo rzeczy do archiwizowania i zapamiętania. Nie chodziło tu jednak tylko o sytuację związaną z uchodźcami, ale też z tym, w jaki sposób ludzie sami się zorganizowali, by skutecznie pomagać. Do tego doświadczenia nawiązuje tytuł książki, która w zasadzie opowiada o dwóch miesiącach naszego wolontariatu. To była spontaniczna oddolna akcja ludzi, którą można nazwać działaniem wspólnoty krótkotrwałej, zorientowanej na cel. Tym celem było przyjęcie osób uchodzących przed wojną i zaopiekowanie się nimi. Nagle zobaczyłem, że z dnia na dzień, w zasadzie z godziny na godzinę, bo wszystko na dworcu bardzo szybko się zmieniało, zaczyna powstawać system, który został oparty na pewnym artefakcie. Były nim kolorowe kamizelki: żółte, które oznaczały szeregowych wolontariuszy, pomarańczowe, przeznaczone dla koordynatorów, różowe zaś dla osób, które organizowały wszelką pomoc i niebieskie dla tłumaczy. I wszystko odbywało się w przestrzeni Dworca Głównego we Wrocławiu.

A.K.: I znów pojawia się Dworzec jako bohater naszej opowieści.

P.R.: Jeśli ktoś był na Dworcu Głównym, to wie, jak niesamowity jest ten budynek, podobnie jak przepiękny jest Wrocław. Budynek dworca jest monumentalny, ale w opisywanym przeze mnie w książce czasie kryzysu wojennego zmienił się zupełnie, chociaż ciągle została zachowana jego funkcja transportowa. Stamtąd wyjeżdżamy w podróż, stąd odbieramy naszych przyjaciół, którzy przyjeżdżają do Wrocławia, sami też wracamy do tego miejsca. W marcu 2022 dworzec stał się przestrzenią spotkań, ale jednocześnie miejscem noclegu, żywienia, leczenia, przyjmowania osób, które uciekają przed wojną.

A.K.: Co wiesz o miejscach, które wykluczają?

P.R.: Wszyscy znamy takie miejsca w swoich miejscowościach i wiemy, z jakiego powodu ich unikamy. Może być to dworzec, który dla niektórych osób nie pełni typowych funkcji transportowych albo tranzytowych, nie przechodzą przez niego lub z niego nie odjeżdżają, ale na przykład chcą się przespać czy ogrzać. Wówczas są delegowani przez służby ochrony kolei lub przez policję jako osoby niechętnie widziane, niepotrzebne, kłopotliwe. Wtedy, w marcu 2022 roku, Dworzec Główny we Wrocławiu przestał jednak być miejscem wykluczania, a stał się miejscem włączania. Działo się to, ponieważ, po pierwsze, przyjmowaliśmy osoby uchodźcze do Polski, której wszyscy byliśmy w jakiś sposób ambasadorami. Na początku nie mieliśmy wsparcia władz wojewódzkich czy miejskich, to my sami jako wolontariusze w pomarańczowych, żółtych, niebieskich i różowych kamizelkach organizowaliśmy całą pomoc Ukraińcom. Miała tu miejsce wysoka specjalizacja, bo ktoś zadbał o jedzenie dla wszystkich, ktoś załatwiał pieluchy, ktoś inny – noclegi czy transport. Kluczowe było włączenie uchodźców jak najszybciej do polskiego obiegu społecznego – to znaczy: znaleźć im mieszkanie, dach nad głową, miejsce, w którym poczują się bezpieczni. Na dworcu widzieliśmy ludzi autentycznie zmotywowanych do pomocy innym w potrzebie. Zajmowali oni każdą przestrzeń tego ogromnego budynku – zarówno bibliotekę publiczną, jak i galerię BWA, na co dzień stosunkowo rzadko odwiedzane miejsca. Ale kiedy pierwszy raz pojawiłem się na dworcu, a chyba był to 7 marca, to zobaczyłem właśnie ludzi śpiących absolutnie wszędzie. Niektórzy

ewidentnie wymagali pomocy medycznej. Byli ludzie, którzy potrzebowali szybkiej pomocy psychologicznej, było mnóstwo dzieci, każdy chciał je rozweselić. Raz usłyszeliśmy wybuch balonika, który ktoś dać chciał dziecku. Balon pękł, a my zobaczyliśmy dzieci padające na ziemię. W zachowaniu tym widać było traumę wojny, widać było ludzi, którzy musieli zabrać w sekundę wszystko, co mieli pod ręką, i uciec. Najbardziej wówczas zaskoczyły mnie spotkania ze zwierzętami. Jako właściciel psa jestem mocno wyczulony na te zwierzęta i ich zachowania. Na dworcu zobaczyłem obok uchodzących kobiet, mężczyzn, dzieci, całą masę uchodzących zwierząt: rasowych i nierasowych psów, rzadkich kotów, zupełnie nieoczekiwanych szczurów, ptaki. Dzięki temu pomyślałem inaczej o tym budynku – stał się miejscem specjalnym i zmienił się z miejsca, w których bywamy, załatwiamy sprawy, przechodzimy, ale nie nawiązujemy relacji, w miejsce włączania, mające przede wszystkim gwarantować bezpieczeństwo. Drugim elementem znaczącym była wiedza, bo trzeba było przekazać ludziom, gdzie się znajdują, jakie mają możliwości. I trzecim – to było miejsce podejmowania decyzji, jakie kroki życiowe przedsięwziąć. Część uchodźców decydowała się na to, żeby zostać we Wrocławiu lub w naszym regionie, na Dolnym Śląsku. Część osób natomiast wiedziała dokładnie, że to jest tylko miejsce oddechu, złapania chwili spokoju w podróży i szybko chciała pojechać do Berlina, do Pragi albo gdzieś dalej. Czasami to były takie bardzo nieoczywiste destynacje. Jeden z wolontariuszy opowiadał mi o tym, że dostał prośbę, żeby znaleźć jak najszybsze połączenie do Libanu. Okazało się, że osoba uchodźcza ma tam przyjaciół, którzy zapłacą za bilet, tylko trzeba to szybko załatwić.

A.K.: Co Cię jeszcze wtedy w marcu 2022 na dworcu zaskoczyło?

P.R.: O zaskoczeniach też za moment opowiem, teraz wrócę jeszcze do pedagogiki miejsca, czyli budowania relacji międzyludzkich, skupiających się dookoła jakiejś przestrzeni. Tą przestrzenią naturalną w opisywanym przypadku stawał się dworzec, ale też dość istotna była sama kategoria przestrzeni, specyfika tego miejsca. Przestrzeń dworca otrzymała określoną funkcję; przestrzeń została przejęta i ta „funkcjonalność” została na nowo napisana. Przypomniła mi się w tym kontekście książka *Mikropolis* (2015). Dworzec od zawsze był takim minimiastem, ale zimą i

wiosną 2022 roku na kilka miesięcy stał się nim naprawdę. Dworzec Główny to był w zasadzie cały Wrocław, ponieważ wszyscy wiedzieli, że jak ktoś przybywa do Wrocławia, to prawdopodobnie zakończy ten etap podróży na Dworcu Głównym i w związku z tym generalnie nasze miasto skurczyło się do obrębu tego miejsca. Zresztą nieoczekiwana była swoistość, a nawet dwoistość tego zjawiska, bo z jednej strony byli uchodźcy, którzy przyjeżdżali pociągami, autobusami, transportem humanitarnym, a z drugiej strony – pojawiła się kolejka mieszkańców Wrocławia i okolic, którzy przynosili żywność, dary, ubrania, zabawki. Obserwowaliśmy zatem dwie fale ludzi i to, co ich łączyło – niezwykle poczucie braterstwa/siostrzeństwa, by działać razem. Stąd, odpowiadając tak długo na to pytanie, myślę, że oczywiście są miejsca wykluczenia, ale są też miejsca inkluzji, włączania, i Dworzec Główny we Wrocławiu stał się właśnie takim miejscem zupełnie nieoczekiwane.

A.K: Czy na pewno nieoczekiwane? Mam wrażenie, że to także efekt działań i decyzji osób, które remontowały dworzec po powodzi w 1997 roku. Obecnie na miejscu funkcjonuje biblioteka publiczna, galeria sztuki, odbywają się przedstawienie teatralne. Jest to przestrzeń, która miała właśnie służyć nie tylko transferowi ludzi z miejsca na miejsce, ale też innym celom społecznym czy kulturalnym. Samo w sobie jest to niezwykle symboliczne, bo Wrocław w 1945 roku przyjmował ludzi z całego kraju, którzy szukali nowego miejsca życia dla siebie. To oni zbudowali miasto od nowa – otwarte i włączające.

P.R.: Tak! Będąc na dworcu w marcu 2022 roku, trochę spłacałem symboliczne długi rodzinne, ponieważ moi dziadkowie, moja babcia i dziadek, jeszcze jako dzieci wracali do Polski po zakończeniu wojny z robót przymusowych w Bawarii i trafili właśnie do Wrocławia. Jednak należy mieć na względzie, że ten dworzec widział dużo więcej niż my pamiętamy czy znamy, ponieważ obejmujemy swoją pamięcią jedną generację, jedno pokolenie. A dworzec pamięta znacznie więcej – jego budowa zakończyła się w 1857 roku, zatem doświadczył kilku fal uchodźców – w XIX wieku, widział pierwszą wojnę światową, drugą wojnę światową, widział też rok 1968 czy trudne lata osiemdziesiąte. W końcu widział też ludzi w 2004 roku – tych, którzy opuszczali Wrocław zaraz po wejściu do Unii Europejskiej, żeby udać się w tułaczkę za pracą.

Z drugiej strony, obserwując dworzec po 2012 roku, kiedy odbywał się we Wrocławiu m.in. europejski turniej piłkarski, wiemy, że stał się częścią nie tylko święta i świata piłki nożnej, ale rozbudowano i zintensyfikowano jego funkcje handlowo-usługowe, często o charakterze wybitnie komercyjnym. Dodam do tego, na dworcu – do czasu generalnego remontu w 2012 roku – działało także kino.

A.K.: Mówimy wiele o symbolach, pojęciach, kategoriach, które ciągle są obecne w naukach społecznych, w humanistyce, ale też w życiu społecznym i praktyce społecznej – przestrzeń, migracje, kryzysy społeczne. Takim ważnym pojęciem jest również wolontariat. Czy wolontariat to także Twoje doświadczenie? Jak można byłoby je zdefiniować dziś na nowo? Być może zaangażowanie społeczne obywateli jest czymś zupełnie innym niż postawy obywatelskie Polaków trzydzieści lat temu, kiedy budowała się polska demokracja?

P.R.: Myślę, że tak. Mam duży problem z definicją „wolontariatu”. Wiele osób pytało mnie o to, dlaczego w tytule książki nie ma hasła wolontariat. Uważam, że *de facto* nie był to wolontariat jako taki, ponieważ praca wolontariacka oznacza nieodpłatną i dobrowolną pracę na rzecz czegoś lub kogoś, która jest realizowana chociażby właśnie w takich sytuacjach, takiego, powiedzmy sobie, działania, które jest wynikiem czynników zewnętrznych: wojny, katastrof naturalnych itd. Działania na dworcu nie do końca spełniały wymogi ustawowe¹. Wolontariat jest związany z ubezpieczeniem, realizacją wielu formalności, mających chronić przede wszystkim wolontariusza. Tutaj była to raczej praca w formule wolontariackiej, ale być może nie wolontariat w ścisłym znaczeniu tego rodzaju aktywności. To, czego ja doświadczyłem i co obserwowałem, i co następnie opisuję w książce, to w zasadzie jest wolontariat łączony z formą aktywizmu. Sytuacja bycia na dworcu w pewnym momencie budziła w każdym pytanie o to, dlaczego tam jest. I odpowiedź była bardzo prosta, w zasadzie: „Robię to dlatego, że gdybym ja był w tej sytuacji, to chciałbym, żeby ktoś podobnie mnie przyjmował”. Ale potem pojawiały się kolejne pytania: dlaczego nie są tu obecne struktury państwa, dlaczego nie ma urzędników, dlaczego w pracę nie angażują się

¹ Odniesienie do zapisów Ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 r. o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie (Dz.U. 2003 nr 96 poz. 873).

osoby profesjonalnie odpowiedzialne za wsparcie i pomoc... Mam tu konkretnie na myśli na przykład zespół różowych kamizelek, czyli osoby zarządzające resztą nas, osób pomagających na dworcu. Było ich około 20 osób. Połowę z nich stanowili ci, którzy na co dzień zajmują się pracą menedżerską średniego szczebla, zatrudnieni w korporacjach, głównie pracownicy korporacji IT. Drugą grupę stanowili pracownicy sfery publicznej, np. pracownicy socjalni, nauczyciele, nauczycielki, czyli osoby, które generalnie z jednej strony umiały bardzo dobrze zarządzać informacją, tworzyć bazy danych, uruchamiać całą masę pomocnych w pracy narzędzi, np. system zarządzania wolontariuszami – bowiem żeby przyjść na dworzec i odbyć wolontariat, trzeba było się zapisać w formularzu online. Co chwilę było to narzędzie doskonałe, stawało się coraz lepsze i skuteczniejsze, bo ich twórcami były osoby o wysokich kompetencjach cyfrowych. Ale z drugiej strony pojawił się komponent, powiedzmy sobie, analogowy, tradycyjny, miękki – wśród różowych kamizelek byli ludzie, którzy na co dzień zajmują się może nie kryzysami humanitarnymi, bo tam nie było nikogo właśnie od kryzysów humanitarnych, ale pracą z ludźmi w warunkach trudnych. Dawało to ogromną siłę, bowiem jeśli jesteś pracownikiem socjalnym, jesteś nauczycielem, to wiesz, że takie rzeczy, trudne rzeczy się zdarzają. Czyli było to takie *combo*, kombinacja kompetencji, które na początku określiłem, na swoje własne potrzeby analizy danych, neoliberalne aikido. Dotyczyło ono zachowań korporacji, które wykorzystują zasoby, kapitał kulturowy i społeczny absolwentów uczelni i wyciągają np. socjologów, pedagogów i psychologów z tej sfery publicznej, która niewiele może im zaoferować. Natomiast korporacje są atrakcyjne z uwagi na dobre warunki pracy, warunki wynagrodzenia, dość szybki poziom rozwoju i awansu w strukturze i wykorzystują zdobyte na studiach kompetencje od zaraz. Ze sfery publicznej te osoby są drenowane i nie wykonują profesjonalnie tej pracy, do której byli kształceni. Nazywam ten proces neoliberalnym aikido, odwołując się do formy prowadzenia walki typowej dla tego sportu, czyli wykorzystania siły przeciwnika do zadania ciosu. Tym razem zaś było tak, że ludzie z korporacji wrócili do świata społecznego i zastosowali wszystkie swoje umiejętności profesjonalne, żeby stworzyć procedury, procesy, zarządzać danymi, skutecznie otrzymać *feedback* i bardzo szybko nadawać informacje i komunikaty, sprawnie poruszać się w mediach społecznościowych. Spotkałem na przykład pracowniczkę banku, z grupy

różowych kamizelek, która na co dzień bada ryzyka bankowe i zdolności kredytowe. Powiedziała mi wprost, że to jest najlepszy trening zawodowy, jaki mogła mieć, a do tego dostała coś ważnego – tj. możliwość pomocy ludziom. Na dworcu zajmowała się budową procedur i procesów, które najdalej w ciągu 24 godzin są sprawdzane, czy działają. W banku te same zadania trwają około sześciu miesięcy, uwzględniając testowanie procedur oraz weryfikowanie rozwiązań pod kątem ich przydatności. Po doświadczeniu pracy na dworcu jej kompetencje zdecydowanie wzrosły.

A.K.: Przypomina to wolontariat pracowniczy, prawda?

P.R.: Tak. W pomoc na dworcu zaangażowała się cała masa firm, był to zdecydowanie ruch masowy, przypisany głównie do firm o charakterze korporacyjnym. Pracownicy z wdzięcznością podkreślali, że mogą tu być w czasie pomocni i że to jest duży gest ze strony ich pracodawcy, by umożliwić podążanie za ich potrzebą wsparcia osób w kryzysie.

A.K.: Zatem była to forma aktywizmu – aktywizmu społecznego i politycznego.

P.R.: Próbując opisać fenomen wolontariatu na dworcu, dotarłem do kategorii humanizmu subwersywnego. Jest to pojęcie dwóch holenderskich badaczy, ukute zaraz po falach pierwszych migracji osób z Maghrebu do Europy. Przyjęto wówczas założenie humanizmu subwersywnego, który polega między innymi na tym, że bezwarunkowo musisz pomóc ludziom przeżyć. To jest gest humanitarny; jeśli ktoś wymaga pomocy, to musisz udzielić pomocy wbrew temu, czego żąda od obywateli państwo, niekiedy wbrew temu, jakie są procedury tego państwa i w jaki sposób państwo wymyśliło swoją politykę migracyjną. Jest to element nieposłuszeństwa obywatelskiego. Wiesz, że nie możesz tego zrobić z uwagi na prawne i polityczne rozwiązania, ale to robisz. Przypomina to sytuację na polsko-białoruskiej granicy, co relacjonuje w swojej książce Mikołaj Grynberg (2023). Pisali o tym także Przemysław Sadura i Sylwia Urbańska, autorzy cyklu reportaży badawczych pt. *Obcy w naszym kraju*, publikowanych na łamach Krytyki Politycznej, kiedy pokazywali ludzi, którzy chcą dotrzeć do Polski. Oczywiście możemy sobie tłumaczyć, że są zakładnikami Putina i Łukaszenki i wpisują się w

niecny plan destabilizacji Unii Europejskiej, Polski, granic itd. Ale to przede wszystkim są ludzie, którzy walczą o życie. Nie przyjechali w celach turystycznych i nie spotkali się z Łukaszenką, ale zostali wykorzystani. Na Morzu Śródziemnym są wykorzystywani przez pośredników, którzy biorą tysiące euro, żeby przeprowadzić ich przez Morze Śródziemne. Ci natomiast są wykorzystywani z kolei przez polityków typu Łukaszenko, Putin i pozostałych dyktatorów. Odpowiedzią na te kryzysy i wątpliwości jest humanizm subwersywny, polegający na tym, że po prostu pomagasz: idziesz do lasu i niesiesz ze sobą jedzenie, leki, latarki, powerbanki i ratujesz życie. Właśnie o tym Agnieszka Holland zrobiła film *Zielona granica*.

Humanizm subwersywny ma ponadto cechę, która mówi o tym, że wchodząc w reakcję ze światem, przyjmujesz postawę polityczną. Ona jest siłą rzeczy, katalizatorem wywołującym aktywność. Czujesz, że musisz coś zrobić, bo żyjesz w państwie, które za ciebie danej czynności nie wykona. Zatem ubierając kamizelkę, *de facto* zabierasz głos polityczny. W marcu, kwietniu 2022 po prostu chcieliśmy ugościć ludzi, pokazać braterstwo, pokazać solidarność i trochę zrobić też coś dla siebie... ale było to także działanie polityczne. Państwo nie działało, miasto z opóźnieniem się organizowało.

A.K.: Dla siebie?

P.R.: Używam w książce innej kategorii: pomocy wzajemnej. Oczywiście w pierwszej kolejności oferowaliśmy pomoc osobom, które jej potrzebowały, ale potem, po jakimś czasie, kiedy siadaliśmy na chwilę, żeby odpocząć, wspieraliśmy sami siebie. Mieliśmy przekonanie, że dworcowa aktywność to jest działanie także na naszą rzecz. Czuliśmy się potrzebni, w pełni ludźmi i wyobrażaliśmy sobie, że gdybyśmy musieli gdzieś uciekać dalej, na Zachód, to ktoś podejdzie do nas z miską zupy, z kartą SIM... I to z kolei jest bardzo ciekawe, bo w sytuacji kryzysowej potrzeby uchodźców były zaskakujące. Ponieważ oprócz klasycznych potrzeb żywnościowych, to zwykle w trzecim, piątym zdaniu pojawiało się pytanie o kartę SIM, o powerbanki i o ładowarki do telefonu.

A.K.: Tak, telefon to był produkt pierwszej potrzeby.

P.R.: To zupełnie zrozumiałe. Najpierw jedzenie, a następnie kontakt: z najbliższymi, z mężem na froncie, z bratem, z ojcem, z kimkolwiek, by powiedzieć, że „już jestem bezpieczna”, „już jestem bezpieczny”, że „jesteśmy we Wrocławiu”. I odbywało się to przez telefon i przez sieć internetową, zwykle w formie rozmowy, przez media społecznościowe. Sam nie przepadam za tym kanałem komunikacji, jednak pamiętam wywiad z Zygmuntem Barmanem zaraz po tym, jak wybuchła arabska wiosna, która rozpoczęła się przez fakt, że media społecznościowe zaczęły podawać masową informację o buncie. Gniew społeczny zaczął eskalować, a reżimy, które trwały dekady, nagle obracały się w pył w ciągu kilku tygodni. I Bauman powiedział w jednym z wywiadów, których udzielał wówczas, że to, czego się dowiedzieliśmy z tego kryzysu – poza wszystkimi elementami społecznymi i politycznymi – to fakt, że mamy nowe narzędzie polityczne. Mowa tu o mediach społecznościowych, które potrafią burzyć porządki. I potem zadał pytanie: „Nie wiemy jednak jeszcze tego, czy one potrafią budować porządki?”.

A.K.: Jak było wówczas we Wrocławiu?

P.R.: Miałem możliwość zaobserwowania też tego, że media społecznościowe we wspólnocie krótkotrwałej, zbudowanej na konkretnym celu, czyli pomocy, w zasadzie umożliwiały skuteczne działania organizacyjne. Odniosę się do innego przykładu. Tak się niestety złożyło, że 25 lat temu, w lipcu 1997 roku, przez Wrocław przeszła fala powodziowa, dzisiaj nazywana powodzią tysiąclecia. Wówczas jeden z wrocławskich socjologów, nieżyjący już profesor Wojciech Sitek wykonał dokładnie tę samą pracę, którą zrobiłem po latach na Dworcu Głównym, czyli wziął dyktafon i poszedł ulicami Wrocławia, nagrywając rozmowy, pytając ludzi o to, co się dzieje. Następnie opisał to w książce *Wspólnota i zagrożenie* (1997), którą wydał dwa miesiące po tym, jak zakończył badania. Wojciech Sitek opowiedział wtedy o sytuacjach, w których ludzie zaangażowali się w walkę z powodzią, którzy stworzyli wspólnotę krótkotrwałą, żeby obronić miasto przed powodzią. Niestety w związku z tym, że nie było komunikacji cyfrowej i wszystko się opierało na radio i telewizji, lokalnych

rozgłośniach radiowych i na lokalnej telewizji, to informacje, które do mieszkańców docierały, nigdy nie były aktualne. Powódź w swojej kulminacji trwała 5 dni, pomoc Ukraińcom – był to znacznie dłuższy proces. We Wrocławiu opowieść o uchodźcach zaczyna się dokładnie 25 lutego, około godziny 21, kiedy docierają pierwsi ludzie i trafiają do Café Dialog, która jest też miejscem dość istotnym w tej książce. Kawiarnia Stacja Café Dialog, prowadzona przez jedną z organizacji kościelnych, humanitarnych, nagle stała się centrum systemu dworcowego wolontariatu, który w opisanej formie trwał od 25 lutego do mniej więcej końca czerwca. System ten zbudowany był przede wszystkim w oparciu o media społecznościowe, do których łatwy dostęp mają wszyscy zainteresowani.

A.K.: Jaką rolę w opisywanym przez Ciebie systemie wsparcia uchodźców odegrały media publiczne?

P.R.: Niestety żyję w przekonaniu, że w Polsce nie istnieją media publiczne, tylko media państwowe i one wówczas działały dokładnie tak samo, jak państwo, czyli nie działały. To znaczy – nie informowały rzetelnie o różnych rzeczach ważnych dla uchodźców i pomagających im służb. Jednakże nikt specjalnie nie zwracał uwagi na media publiczne, ani na media niepubliczne, ponieważ mieliśmy swoje kanały informacji i komunikatory, które wówczas odgrywały kluczową rolę w dystrybucji informacji na bieżąco. Oczywiście miało to swoją słabą stronę, bowiem zdarzały się sytuacje, że ktoś wracał do domu po 12 godzinach pracy na dworcu i miał 600 informacji na różnych urządzeniach, komunikatorach, więc musiał spędzić kolejne trzy godziny, by na nie odpowiedzieć, a co najmniej przeczytać. Jedną z ważniejszych informacji były aktualizowane wciąż dane dotyczące określonych braków – na facebookowej grupie od razu pisano, czego brakuje, czego nie ma, co należy załatwić. Było to podobne trochę do bajki w naszym dzieciństwie – chodzi o *Zaczarowany ołówek*. Chłopiec miał ołówek i rysował różne rzeczy, których pragnął i potrzebował. Wszyscy wtedy mieliśmy marzenie, by być w posiadaniu ołówka. Na dworcu natomiast jego funkcję pełnił komunikat nadany np. na Facebooku, np. „potrzebujemy 600 kanapek” i zaraz mieliśmy dostarczonych tyle właśnie kanapek. Podobnie było z pluszakami, żwirkiem dla kotów... W pewnym momencie faktycznie oceniono, że

zasięg komunikatów w ciągu pierwszej godziny jest powyżej kilku tysięcy odbiorców, co znaczyło, że należy bardzo precyzyjnie nadawać komunikaty, a następnie informować, na jakim etapie realizacji jest dane zadanie – tak, żebyśmy nie skończyli z pięcioma tonami żwiru, z dziesięcioma tysiącami pieluch itd. Wszystkiego trzeba było się nauczyć.

A.K.: Ciekawie pisze o tym m.in. Linda Polman w swej książce pt. *Karawana kryzysu* (2022). Autorka opisuje proces pomocy humanitarnej w Afryce i różne trudne sytuacje typu nadmiar dostarczanych potrzebującym produktów, tj. np. tysiące protez kończyn, ale jedynie prawych... Chciałam jednak zapytać o doświadczenie badacza, bo wspominałeś profesora Sitka, który w czasie powodzi 1997 roku siedł z dyktafonem i rozmawiał z ludźmi na wałach. Wspominałeś Mikołaja Grynberga, który też napisał książkę o pomocy uchodźcom w lesie na granicy z Białorusią. To, co was różni, to doświadczenie wolontariatu. Żaden z nich nie był wolontariuszem, nie był bezpośrednio zaangażowany w pomaganie. Grynberg wręcz odcina się od wejścia w rolę pomagacza. Ty postąpiłeś odwrotnie – stałeś się wolontariuszem. Co ta sytuacja Ci dała, a co utrudniła?

P.R.: W zasadzie na początku postanowiłem, że nie będę robić badania. Zmiana decyzji wywołana była pewnym spotkaniem. Mamy jako badacze też pewną skazę – nazwałbym to „uchem i okiem badacza”. To znaczy, nieustannie coś się analizuje, rozpoznając pewne schematy czy procesy. Na dworzec nie szedłem jednak jako badacz. Poszedłem tam jako liniowy wolontariusz w żółtej kamizelce, który nosi zupe, wynosi śmieci. Każda praca jest ważna w momencie kryzysu. Natomiast jednego dnia spotkałem w różowej kamizelce znajomą twarz. To była moja studentka sprzed lat, która spytała o to, co tam robię i dlaczego nie dokumentuję, nie nagrywam tego, co się dzieje na dworcu. Miałem wątpliwości, czy powinienem, ale studentka przekonała mnie, że na dworcu jest kilkuset wolontariuszy, a żadnego badacza. Skończyłem dyżur, wróciłem do domu. Powiedziałem mojej żonie, że kolejnym razem idę prowadzić badania. Zwykle zupełnie inaczej przebiega przygotowanie do badań, bo wszystko mam zaplanowane perfekcyjnie. Tu musiałem działać nieszablonowo. Moja była studentka umożliwiła mi wejście do Café Dialog w roli wolontariusza-badacza. Przebywałem tam już bez

kamizelki. Na początku zostałem potraktowany z ogromnym dystansem (eufemizm) przez zakonnicę, która prowadziła kawiarnię w takim przedwojennym formacie. Musiałem wytłumaczyć, co zamierzam zrobić, zdobyć jej zaufanie. Patrzyła na mnie podejrzliwie, bo wzięła mnie za dziennikarza. Faktycznie, te dyktafony, mikrofony, które miałem ze sobą, wyglądały na sprzęt dziennikarski, bo przy okazji wykorzystując te same materiały, chciałem zrobić cykl podcastów. Zacząłem rozmawiać z ludźmi, nagrałem ponad pięćdziesiąt wywiadów, a do udzielenia wywiadu zaprosiłem niemal dwieście osób. Prowadząc pierwsze wywiady, nadal czułem się trochę nieswojo, bo widziałem, że ktoś zajmuje się przygotowaniem jedzenia, ktoś coś organizuje, a ja siedziałem sobie w wygodnym miejscu na zapleczu i nagrywałem. To było dla mnie najtrudniejsze. Rozmówcy nie mieli też wiedzy, jaki jest cel i forma wywiadów, ale mieli swoje oczekiwania. Wiedzieli, że stworzymy repozytorium pamięci dla przyszłości... Zabrakło tego podczas powodzi 1997 roku. Wojciech Sitek oczywiście próbował to zrobić, ale wiesz, jak niskie są zasięgi tekstów naukowych. Zatem pomyślałem sobie, że zrobię badania, potem spróbuję napisać książkę, którą da się czytać. Stąd długo myślałem nad formatem książki i w końcu napisałem ją w dwóch narracjach. Po pierwsze, opowiadam, co widziałem i wspomagam się fragmentami narracji, ale też każdy rozdział ma drugą część *stricto* naukową, dzięki czemu książkę można przeczytać na kilka sposobów – zaczynając od narracji wolontariuszy, a kończąc na opisach naukowych. Książka będzie dostępna pół roku po wydaniu w opcji Open Access.

A.K.: Twoja książka jest dedykowana wolontariuszom i wolontariuszkom. Dlaczego?

P.R.: Zaczyna się od wezwania: „Wolontariusze i wolontariuszki wszystkich krajów łącznie się!”. To jest książka o nich i dla nich. W zasadzie o nas i dla nas. W książce zdradzam sporo kuchni badawczej. Zdradzam i opowiadam o niej właśnie z podwójnej perspektywy: badacza i wolontariusza, bo w sytuacji, kiedy nie realizowałem wywiadu, to robiłem różne rzeczy jako wolontariusz. Rozmawialiśmy w kuchni i to było badawczo bardzo komfortowe miejsce i też bardzo komfortowe dla wolontariuszy, bo oni mogli na chwilę, nawet będąc w kamizelkach, usiąść i odpocząć. Część osób mówiła mi po prostu, że jak ubierasz

kamizelkę, to tracisz poczucie czasu i nie wiesz, kiedy mija sześć, osiem, dziesięć godzin. Jeden z wolontariuszy, najmłodszy, bo był to kilkunastoletni chłopak, uczeń liceum ogólnokształcącego, mówił mi pierwszego dnia, jak tu przyszedłem, że włączył zegarek tak, żeby liczył kroki. Pierwszego dnia, jak wychodził z dworca, to miał tam ponad 40 tysięcy kroków, następnego dnia – 60 tysięcy kroków. Rano nie wiedział, dlaczego tak bolały go nogi, a potem sobie przypomniał, że przeszedł prawie maraton. To przykład przekraczania wielu swoich granic, nie tylko fizycznych, jak się okazywało.

A.K.: Czego się nauczyłeś, pomagając i współpracując z innymi wolontariuszami?

P.R.: Badam wolontariuszy z kilku powodów. Po pierwsze, ze względów etycznych, ponieważ chyba nie umiałbym wtedy pytać uchodźców. Nie ma wywiadu, który byłby warty krzywdy czy cierpienia naszego rozmówcy. Na dworcu widziałem ludzi w skrajnie trudnej sytuacji życiowej. W zasadzie naprawdę wolałem przynieść miskę ciepłej zupy niż podejść z dyktafonem, poprosić o rozmowę. Po drugie, odpowiadają za to oczywiście kwestie językowe. Posługuję się komunikatywnie językiem rosyjskim, nie zaś ukraińskim. Wielu reagowało bardzo niedobrze, słysząc ze strony wolontariuszy rosyjski. Trzeci powód był taki, że w 1997 roku, podczas powodzi we Wrocławiu, byłem także wolontariuszem i ładowałem piasek i rozwoziłem żywność po mieście. Akurat część Wrocławia, w której mieszkałem, wtedy nie została zalana, ale pamiętam, że to była bardzo ważna sprawa dla mnie i pomyślałem sobie: to jest kolejny element spłacenia długu. Pomyślałem sobie o wolontariuszach, widząc, co robią, że chciałem się dowiedzieć, kim są, w jaki sposób dotarli na dworzec, dlaczego tam dotarli, co wyciągają z takich spotkań... Bo oprócz tego, że byli niezmiernie zmęczeni, to jeszcze uczyli się mnóstwa rzeczy. Sam, jak się wieczorem kładłem, zamykałem oczy, widziałem te obrazy z dworca. Byłem, podobnie jak inni, niezwykle zmęczony fizycznie. Ponadto było wówczas strasznie zimno, bo to był luty, marzec. Zatem oddziaływały na nas wszystkich czynniki zewnętrzne, z którymi bardzo trudno sobie poradzić. W związku z tym w wywiadach pytałem o te doświadczenia trudne, takie spotkania krytyczne, ale też spotkania pozytywne. Takie, które niosły, bo przecież

bywa też tak, że człowiek jest zmęczony, spędza którąś godzinę na dworcu, jest zimno i nagle spotykasz kogoś w potrzebie, komu wszyscy zgromadzeni próbują pomóc. Osoba opowiada historię swojego życia i nagle dostaje się po prostu taką energię, że można pozostać na miejscu kolejne osiem godzin. Jednak potem i tak dopada zmęczenie, zdarzają się i konflikty. Jednak powstała tam niecodzienna, niezwykła kultura współpracy, bazująca na byciu razem, która pozwalała szybko je rozwiązać. Wzmacniała je kamizelka, którą ubierałem i od razu stawałem się członkiem grupy. Budowała się przynależność i poczucie, że wiem, co mam robić. Pojawiały się solidarność, przyjaźń, braterstwo, a jednocześnie sam człowiek tracił swoje znaczenie, odchodził w cień. Chciałem udokumentować fenomen solidarności międzyludzkiej w sytuacji, w której tej solidarności nam bardzo brakuje – przecież poziom kapitału społecznego w Polsce jest najniższy w Europie. Jako obywatele tego kraju sobie nie ufamy, nie darzymy siebie wielką sympatią, nie jesteśmy zainteresowani kooperacją. Podejmujemy działania grupowe, głównie wtedy, gdy coś lub ktoś nas denerwuje, czego przykładem były marsze kobiet. Wspaniale reagujemy w sytuacjach zagrożenia, kryzysów, katastrof. Jesteśmy w stanie stanąć na głowie, pomóc. I wtedy te wszystkie brednie, które w telewizji można usłyszeć o uchodźcach, o bakteriach, o wirusach, nie mają żadnego znaczenia. Po prostu idziemy jak ogień. To chciałem właśnie dokumentować, będąc właściwie (w) centrum tych zdarzeń.

A.K.: A czy to, co teraz powiedziałeś, czy to są jakieś założenia, czy wnioski? A może przesłanie pedagogiki wzajemnej pomocy?

P.R.: Tak, skorzystałem z formuły pedagogiki, która od wielu lat mnie interesuje. Mam tu na myśli pedagogikę, która jest działaniem, która ma też efekt edukacyjny, wychowawczy, powoduje pewne oddziaływanie i jest w dużej mierze generowane przez codzienność. To swoistego rodzaju algorytm, który wprowadza pomoc wzajemną – za Kropotkinem – jako czynnik rozwoju. Potwierdzają to obserwacje społeczne, z których wynika, że chętnie pomagamy. Pomagając innym, pomagamy sobie. Takim kluczowym przykładem jest oczywiście Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, w przypadku której nie chodzi o serduszek na kurtce, nie chodzi też o wrzucone do skarbonki pieniądze. Chodzi o akcję,

o bycie razem przez jeden dzień. To takie super *katharsis*. Potem przez kolejne 364 dni będziemy tacy, jak wcześniej, ale ważne jest, by raz w roku zadziało się inaczej. Wrzucając monety czy banknoty do puszek, pomagasz także sobie, bo trafisz do szpitala, który zawsze posiada orkiestrowy sprzęt. Państwo to też wie, więc nie musi specjalnie inwestować. Skrajnie można przyjąć, że państwo staje się zupełnie niepotrzebne, zbędne... Czasami to niebezpieczny sposób myślenia, jednak uważam, że pomoc wzajemna w formule codziennej jest bardzo istotna, ważna po to, żeby normalnie funkcjonować. To jest ten rodzaj życzliwości, empatii i sympatii, który mamy i dla siebie, i dla tych ludzi, którym pomagamy, a mogą to być małe rzeczy. Kropotkin wspaniale o tym pisze, wskazując, że to są sytuacje w zasadzie naturalne, w których my nawet nie zauważamy, że komuś pomogliśmy. I ta pomoc, to dobro czynione dla innych do nas wraca. Pisząc o tym książkę, etycznie też jest jakoś uzbroić się w koncepty, teorie, ale przede wszystkim chodzi mi o pewną opowieść o pomocy wzajemnej, która w tej konkretnej sytuacji kryzysu wojennego działa w bardzo specyficznych warunkach. Granice przestają istnieć, czas przestaje mieć znaczenie, bo osiem godzin dyżuru w zasadzie upływa w pięć minut. Zmęczenie fizyczne jest wynikiem 60 tysięcy kroków pokonanych na dworcu, a to przecież prawie 40 kilometrów. Gdyby ktoś ci powiedział, abyś przeszedł 40 kilometrów po dworcu, uznałabyś, że to jest jakaś zwariowana i niewykonalna propozycja. Innym elementem pomocy wzajemnej było to, że znikają dystynkcje, głównie te codzienne. Odwrotnie, tworzyły się minizespoły, grupy po dwie, trzy osoby, dzięki czemu szybciej się organizowało różne rzeczy, dużo łatwiej i skuteczniej się pracowało. Grupy te tworzyli różni ludzie, którzy na co dzień nie mieliby szansy pracować wspólnie, co najwyżej mijaliby się w pewnych miejscach. A na dworcu tworzyli skutecznie działające grupy. Jedna z nich zapadła mi w pamięci. Robotnik mający za sobą podróże po całej Unii Europejskiej – pracował jako śmieciarz praktycznie we wszystkich europejskich stolicach – pracował razem z menadżerem korpo w tandemie. Sami doszli do wniosku, że normalnie to nie mogło się przytrafić. A na dworcu wydarzyło się, bo chodziło o działanie pomimo dystynkcji, które nas definiują w normalnym życiu. Zatem są to osoby posiadające różne statusy społeczne, zjednoczeni pracą tu i teraz na dworcu. Dzieje się to zupełnie niespodziewane, pewnie nic podobnego by się nie wydarzyło bez tej konkretnej sytuacji.

A.K.: Czyli tworzy się wspólnota w warunkach zagrożenia...

P.R.: Tak, to jest ta wspólnota tymczasowa, budowana przez niezwykle zdarzenie społeczne i niejako – na chwilę. Należą do niej, jak mówiłem wcześniej, osoby o różnych statusach i w różnej sytuacji życiowej. Najmłodszy wolontariusz, mający 15 lat, uczeń liceum ogólnokształcącego, pojawił się na dworcu w pierwszym dniu, był w grupie organizującej nieformalny system pomocy. Mieszka blisko dworca, więc może spędzać tu dużo czasu. Rozpoznać go można po pomarańczowej kamizelce, czyli jest koordynatorem. Jego zadaniem było przeszkolenie 15–20 osób, wśród których nie było nikogo młodszego od niego. Niby obowiązuje cezura 18 lat – należy być pełnoletnim, by móc pracować jako wolontariusz, ale uszanowano jego obecność od pierwszego dnia kryzysu i pozwolono mu zostać. Staje się „nauczycielem” osób dorosłych w wieku jego rodziców czy nauczycieli. Co więcej, mówi do nich po imieniu, jak do rówieśników. W czasie wywiadu mówił mi, że jest to dla niego pierwszy raz, kiedy dorośli go słuchają. Mają świadomość, że przekazuje im rzeczy mądre, ważne, praktyczne, ale wcześniej, przed wojną, jako uczeń miał zupełnie inne doświadczenia: „Jako dziecko mówiłem różne rzeczy swoim rodzicom i nigdy mnie nie słuchano”. Cenzus wieku przestaje mieć zatem znaczenie w sytuacji, w której ty jesteś człowiekiem, który wie, co robić, i wie, jak działać. Inny przykład radykalnego uświadomienia sobie, że posiadane umiejętności mają wpływ społeczny, a nie służą jedynie powiększaniu przychodów korporacji, to obecność osób, które na co dzień pełnią funkcje menadżerskie w tych wielkich firmach międzynarodowych. Tu, na dworcu, nagle zyskali przekonanie, że to, co umieją, nie tylko jest użyteczne do zarabiania pieniędzy, ale też do wyższych celów społecznych. Na przykład *office manager*, który do tej pory wysyłał specjalistów do Bangkoku, do Nowego Jorku, posiadał doskonałe kompetencje, żeby generować nowe kontakty, umożliwiać transfer lotniczy i kolejowy, pomagając przy tym ludziom. Stosuje je na co dzień, bo zarządza biurem, w którym jest ponad sto osób. Reflektuje się w pewnym momencie i mówi: „Wiedz, że robię to nie dla hajsu. To jest po prostu po to, żeby oni żyli”. Dodaje potem: „Pierwszy raz widzę, że moja praca ma użyteczność społeczną. Do tej pory myślałem, że ona tylko polega na tym, żeby jak najwięcej pieniędzy przynieść swojej firmie”. I kiedy praca na zmianie się kończyła, to miał miejsce bardzo symboliczny

gest, który zaczyna się wtedy, kiedy się wchodzi do szatni, przebiera w swoje ubranie, zrzuca kamizelkę i nagle przestaje się być Avengerssem. Bez kamizelki nikt cię nie rozpozna jako wolontariusza. Próbuje się wówczas wyjść, także z pełnionej na dworcu roli, ale to nie jest proste. Czasem wychodziłem z dworca obejrzeć, co się dzieje na zewnątrz, widziałem wtedy wolontariuszy, którzy mieli kamizelki schowane w kieszeniach, żeby zapalić papierosa, trochę poprzeglądać wiadomości na telefonie, bo w kamizelce to niemożliwe. Człowiek w kamizelce od razu wysyła sygnał, że ta osoba pomaga i można ją o coś poprosić, zapytać. Generalnie wolontariat to było naprawdę wspaniałe przeżycie. Znałem je wcześniej, np. z roku 1997, wtedy też tego doświadczyłem, ale nie umiałem tego nazwać. Nie miałem odpowiedniego aparatu pojęciowego, badawczego. Nie byłem na tyle odczytany w literaturze z nauk humanistycznych i społecznych, żeby zrozumieć ten proces. Obecnie wiem więcej, ale i tak ta wiedza we mnie jeszcze pracuje.

A.K.: Jak opowiadasz o tym, to również myślę o swoich doświadczeniach z 1997 roku. Pojawiają się tu pewne porównania, analogie, jednak różnicą jest sam podmiot pomocy. Wówczas walczyliśmy o miasto, Wrocław, istotę naszej tożsamości. W 2022 roku natomiast chodziło o przeżycie tych osób, które dotknął największy możliwy kryzys wojenny. W czym tkwi różnica? Różni je coś, co nazwałabym codziennością. Codziennością w kryzysie. Skąd czerpać tutaj zasoby emocjonalne?

P.R.: Masz rację, że wojna uruchomiła całą masę rzeczy w świadomości Polek i Polaków, którzy przecież znali już doskonale mniejszość ukraińską, bowiem Ukraińcy i Ukrainki do 24 lutego 2022 roku stanowili około 10–12% mieszkańców i mieszkanek Wrocławia. Było ich zatem powyżej stu tysięcy. Nie przyjechali tutaj jako turyści, tylko pojawili się w mieście bezpośrednio po wojnie, która rozpoczęła się i na Donbasie, i na Krymie. Ale wcześniej, w związku z tym, że nie nazwano wojny wojną, traktowano ich jako migrantów zarobkowych, nie zaś – uchodźców. Kryzys wojenny z 24 lutego 2022 roku był początkiem nowego wizerunku Ukraińców, po pierwsze jako osób dotkniętych wojną, po drugie, jako osób niezwykle walecznych. Większość analiz politycznych dotyczących 24 lutego 2022 zawierała opinie głoszące, że po tygodniu Putin będzie w Kijowie odbierał defiladę zwycięstwa. To, co się stało w

pierwszych miesiącach wojny, to po prostu był absolutny fenomen. To opierało się tylko i wyłącznie na sile mentalnej narodu. Obecnie wojna wciąż trwa, inne są emocje i zupełnie inne środki, w tym broń czy wyposażenie armii. Wielu z nas wtedy na dworcu musiało dokonać także różnych przekroczeń swoich politycznych poglądów, swoich biograficznych doświadczeń, swoich takich stereotypowych zapatrywań. To wszystko przestało mieć znaczenie, tak jak na przykład historia mojej rodziny pochodzącej z Wołynia... Jednak to wówczas nie miało dla mnie większego znaczenia, bo trzeba było ratować życie ludzi uciekających przed wojną. Dziś też oczywiście pamiętam historię mojej rodziny, ale ważniejsza była historia, która się dzieje dziś – tu i teraz. To oznaczało, że my wszyscy poczuliśmy się wtedy po prostu odpowiedzialni za naszych sąsiadów, nasze sąsiadki z Ukrainy, za – w zasadzie – naszych braci i siostry. To wtedy zagrało coś, co dawno nie było obecne w naszym narodzie i nie chcę tego romantyzować, bo oczywiście bardzo łatwo przykryć nasze reakcje i zachowania nutą melancholii, emocji i romantyzmu i dopisać do tego sentymentalizm. Mam wrażenie, że uaktywniają się wówczas takie polskie emocje, ale tutaj przede wszystkim chciałbym powiedzieć, wychodząc poza ten emocjonalny i romantyczny ton, że to był niezwykle ciekawy społeczny odruch.

A.K.: I co po nim? Obecnie następuje swoista normalizacja, przynajmniej w naszym życiu codziennym. Jest mniej informacji w mediach, mniej akcji społecznych na rzecz uchodźców.

P.R.: Chwilę przed wojną czytałem kolejny raz książkę Paula Scheffera *Druga Ojczyzna* (2010). Jest to reportaż, bardzo dobrze napisany, gęsty, czyli jest tam mnóstwo informacji, mnóstwo historii i tam się pojawia taka teza, że w każdej sytuacji emigracji, w której ktoś jest goszczony, czyli jest przyjęty w danym środowisku nie jako osoba, którą musisz przyjąć, bo jest to jakiś przymus, ale po prostu chcemy tę osobę ugościć i zabezpieczyć ją, mechanizm społeczny jest taki sam. „Miesiąc miodowy” takiego gościa mija mniej więcej po pół roku. Tutaj mieliśmy dokładnie to samo, pomoc i zaangażowanie zostały z dnia na dzień odcięte. Pół roku później w mediach zaczęły się pojawiać informacje, które mogły być wykorzystywane politycznie. Później na relacje z Ukraińcami nałożyły się kwestie ze zbożem, po prostu wyszła normalna polityka, czyli okres

liminalny domknął się wraz z końcem tego masowego transferu i otworzył się okres poliminalny, czyli wróciliśmy do rzeczywistości. Nagle zaczęły się pojawiać narracje głoszące, że przyjechało mnóstwo Ukraińców, trudno zapisać dziecko do przedszkola, trudno pójść do lekarza. Tak jakby przed 24 lutego system edukacji był tak przyjazny, a system opieki medycznej tak doskonały, że nagle doświadczyliśmy ogromnego kryzysu. Nie, przecież te systemy są tak samo złe. Następnie była kwestia ukraińskiego zboża, a później pojawiła się kolejna rzecz, o której pisze Scheffer, czyli oczekiwanie wdzięczności. I to jest ta czarna strona pomagania. Kiedy pomagasz, to nie po to, żeby dostać swoistą odpłatę w formie wdzięczności. Początkowo tego w ogóle nikt nie oczekiwał. Na początku na dworcu, jak przynosili ludzie zupy, kanapki, ubrania, batoniki energetyczne, soczki dla dzieci itd., to mówiło się „dziękuję” i to wystarczało. Podobnie było z przyjazdami uchodźców i ich pobytem w domach Wrocławian. Ta wdzięczność pojawiła się później jako dodatek do tego, co na początku było niezobowiązujące. Rodzi się tu zatem pytanie, czy trzeba być wdzięcznym za pomoc. Oczywiście można być wdzięcznym, ale czy trzeba? Moim zdaniem w takiej sytuacji, w której znaleźli się ludzie uciekający przed wojną, nie chcę powiedzieć, że pomoc im się należy, ale jak jest udzielana, to nie należy oczekiwać wdzięczności, bo ona może się pojawić i wtedy jest miło. Trzeba zadać sobie pytanie, w jakiej sytuacji osobistej są ludzie, którym udzielamy tej pomocy? Być może oni po prostu są tak strauumatyzowani, że nie mają sił na okazanie wdzięczności. Spotykałem na przykład osoby z Charkowa czy innych miejscowości, których miasta po prostu przestawały istnieć, i przychodziły mi na myśl opowieści dziadka jako chłopca doświadczającego wojny. Opowiadał o tym, że był wdzięczny, że ktoś mu dał trochę jedzenia. Ale ta wdzięczność wcale nie musi być obligatoryjnie powiązana w moim przekonaniu z pomaganiem.

A.K.: Co pozostało z dworcowej wspólnoty?

P.R.: Tamtej wspólnoty nie ma już w sensie fizycznym. Rozproszyła się, bo to była wspólnota krótkotrwała, tak jak pisze o tym Wojciech Sitek. Pisali też o tym Patrice McMahon i Galia Chimiak (2016). Pamiętasz, na początku lat dwutysięcznych bardzo modne były też flesh moby. Ludzie robili jakąś akcję artystyczną czy *performance*, umawiali się na jakiś układ

z podstawowych elementów. Miało to trochę wymiar artystyczny, a trochę żartobliwy, podważający *status quo*. Uczestnicy mieli poczuć się częścią pewnej wspólnoty, motywowaną pragnieniem wolności czy realną sytuacją społeczną lub kryzysem. Wspólnota na Dworcu Głównym zadziałała podobnie. Stworzona została w sposób zewnętrzny sytuacja, w której trzeba pomóc, stworzyć system wsparcia, zwołać wolontariuszy, a potem znów rozproszyć się po to, żeby znaleźć inną sytuację, w której można coś zrobić. I wydaje mi się, że w dzisiejszych wspólnotach jesteśmy przed czymś, co ja sobie roboczo nazywam – pewnie zupełnie nieformalnie, bo jeszcze nie przeprowadziłem do końca studiów literatury na ten temat – czwartym sektorem. Rozumianym właściwie jako działania grup nieformalnych, inicjowanych do zrobienia jakichś rzeczy i rozproszenia się po ich wykonaniu. Te nieformalne grupy tworzone są przy wykorzystaniu social mediów. Kiedy analizujemy na przykład poziom zaangażowania społecznego Polek i Polaków i nakładamy na to ilościową matrycę istniejących zarejestrowanych organizacji pozarządowych, to możemy się zdziwić, dlaczego tak niewielu z nas angażuje się w działania wolontariackie czy społeczne. Dzieje się tak, bo większość organizacji pozarządowych została powołana do rozwiązania jakiegoś celu. Część z nich nie została zarejestrowana w systemie, a mimo to funkcjonuje skutecznie. Czwarty sektor, o którym myślę przy okazji dworcowego doświadczenia, to jest sektor ludzi, którzy po prostu działają wtedy, kiedy potrzebują zadziałać, kiedy coś ich zainspiruje, pojawi się potrzeba społeczna. Teraz to wojna akurat była takim mocnym katalizatorem, ale czasami będą to sprawy klimatyczne, czasami będą to sprawy ograniczenia praw obywatelskich, czasami będą to sprawy dotyczące praw zwierząt czy sprawy związane z lokalną drogą. Zbieramy się, ujawniamy nasze cele, organizujemy się, pomagamy. Mamy do tych celów jakieś forum, kanał na Facebooku i działamy. Następnie wspólnota ta się rozprasza, a ludzie po prostu idą dalej, choć niektórzy w pewnym momencie bardzo szczerze dziwią się, że nie mają już komu i jak pomagać.

A.K.: Uruchomiliśmy pewne siły środowiskowe, które pozwoliły na stworzenie wspólnoty. I o tę wspólnotę pytam – co z nią dalej się dzieje? Jak wykorzystywana jest jej energia?

P.R.: Wróciłem do trzech osób, które były dla mnie bardzo istotne, i poprosiłem o udzielenie ponownie wywiadu. Ich zapisy są dołączone do książki w formule „rok później” i w zasadzie prezentują trzy główne strategie radzenia sobie po doświadczeniu pracy na dworcu. Pierwsza z nich wskazuje na fakt, że skończyła się ta sytuacja, człowiek wraca do zwykłej pracy, robi swoje, ale jest to dla niego takie doświadczenie formacyjne na całe życie. Dzięki temu człowiek wie na przyszłość, co może zrobić w takiej sytuacji, wie, jak się zachować. Nauczył się, jak pomagać, jak organizować pomoc. Gdyby taki kryzys się wydarzył kiedyś jeszcze, to będzie dużo mądrzejszy i bardziej zorganizowany. Druga strategia skupia się na pozostawaniu w relacji, byciu w kontakcie z całą masą wolontariuszy i wolontariuszek. Są razem, by się od czasu do czasu spotykać, żeby powspominać. Najważniejsze jest pielęgnowanie bycia razem. Pozwala na to utrzymywanie kontaktów nie tyle bezpośrednich, co tych za pośrednictwem komunikatorów. Ostatnia osoba stanowiła dla mnie szczególnie ciekawy przypadek. Powiedziała bowiem:

Wiesz, przez 13 lat próbowałam zmienić pracę i się nie udawało, bo zawsze było coś nie tak. Ale jak wskoczyłam w ten wolontariat, to nie dość, że spędziłam na dworcu trzy miesiące, to potem pojechałam do Przemyśla. To doświadczenie mnie złamało. W Przemyślu zobaczyłam takie rzeczy, które kompletnie mnie przeraziły, bo wiedziałam, że nie uda się zrobić nic więcej. Ale wróciłam do domu, ochłonęłam, nagle zmieniłam pracę. Zmieniłam ją potem drugi i trzeci raz. Tym razem zajmuję już stanowisko zarządcze, menadżerskie. Zmieniłam całkowicie swoje podejście do ludzi, bo stałam się hiperempatyczna. Zupełnie inaczej nauczyłam się komunikować. Niejako otworzyłam swoje życie. W ogóle ta zmiana biograficzna jest tak radykalna, że w pewnym momencie złapałam się na tym, że powiedziałam sobie, że w sumie dobrze się stało, bo tyle zmieniło się we mnie. Jednak zaraz ugryzłam się w język – przecież to wojna to jest najgorsze, co mogło nas spotkać. Ale biograficznie uruchomiła całą masę rzeczy.

Odpowiadając na twoje pytanie, myślę sobie, że część osób jest wciąż w relacjach, choć na pewno nie ma wspólnoty. Grupa wolontariuszy na Dworcu Głównym we Wrocławiu była bardzo duża, co potwierdzili w kwietniu 2022 roku podczas wywiadu grupowego jego uczestnicy.

Mówili wówczas o czterech tysiącach zarejestrowanych wolontariuszy, czterech tysiącach ludzi! Gdyby przeliczyć to na roboczogodziny, to wyszłyby w sumie miliony godzin, które spędziliśmy na dworcu. Jednocześnie po zatrzymaniu fali uchodźczej ta ogromna i intensywna wspólnota się rozproszyła.

A.K.: Czy tak było też podczas powodzi 1997 roku?

P.R.: Pamiętam powódź '97 roku, pamiętam z tego czasu na przykład sąsiadów, których wcześniej widywałem na przystanku, a później machaliśmy sobie na ulicy, bo połączyła nas właśnie wspólnota doświadczenia. Dziś jest podobnie – rozpoznajesz kogoś i pytasz, czy był na dworcu. To nie jest nic wielkiego, ale – jak powiedział jeden z moich rozmówców – od razu robi się cieplej na sercu. To jest taki mikrokapitał: „ja wiem, że on był, on wie, że ja byłem na tym dworcu i pomagaliśmy”.

Wspomniałem na początku naszej rozmowy, że dziewczyna, która na co dzień była analityczką ryzyka bankowego, po tym, jak wróciła do normalnego życia bankowego, uzyskała niesamowite umiejętności budowania i wdrażania procedur. Chłopak, który był jednym z głównych organizatorów całego ruchu wolontariackiego i komunikował się z władzami, potem miejskimi, wojewódzkimi, też był menagerem w organizacji w korporacji IT. Wydaje mi się, że jego umiejętności po prostu niebotycznie wzrosły. Jednocześnie pamiętam taki przypadek, kiedy chłopak, który był w pomarańczowej kamizelce i zarządzał wolontariuszami, po całej sytuacji na dworcu spytał, czy może mi przysłać CV, bo szuka pracy. Byłem przekonany, że chodzi o stanowisko zarządcze. Jednak jak zobaczyłem to CV, byłem zaskoczony, bo było one bardzo podstawowe, bez odpowiedniego doświadczenia profesjonalnego.

A.K.: Pojawiły się też zasoby, które później można byłoby wykorzystać nie dla rozwoju osobistego czy zawodowego tych osób, ale dla rozwoju społecznego.

P.R.: W jednym z wywiadów pojawia się trochę żal z powodu tego, że nie można było użyć tego potencjału dalej, żeby to była nowa Solidarność, żebyśmy zrobili ruch społeczny czy polityczny. Z drugiej strony, obserwując ostatnie dziesięć lat, nauczyłem się wiele o przemianach społecznych i przestałem wierzyć w rewolucję społeczną. Przestałem wierzyć w potencjalne zmiany, ponieważ tyle razy już byłem przekonany, że dany moment to jest właśnie ta chwila i jesteśmy tuż przed zmianą społeczną. I znowu miałem brutalne oświecenie, w tym sensie, że piękna idea solidarnościowa zderzyła się z rzeczywistością. Tutaj też nie miałem wątpliwości, że to się stanie, że to doświadczenie wspólnoty raczej pozostanie jako kapitał indywidualny, czasami mikrospołecznościowy, aczkolwiek faktycznie byłoby wspaniale wykorzystać je do zbudowania czegoś więcej, lepiej, dla wszystkich. Inna sprawa, że takich dworców w skali kraju było kilka. W samym Wrocławiu miejsc pomocy było pewnie kilkanaście, choć nie tak wielkich jak ten ruch na dworcu. Każde z tych miejsc wytworzyło swoją mikrokulturę. Wiem to, bo podobne badanie w innych miejscach we Wrocławiu prowadziła moja koleżanka. Badała organizacje, które pomagały uchodźcom osiadłym w mieście, dostarczające żywność, ubrania, wsparcie psychologiczne itd. Różniły się sposobem zarządzania. O ile na dworcu zastosowane zostały narzędzia zarządzania korporacyjnego, to tam trochę żartobliwie mówiono o *floor management*. Po prostu był jeden lider i wszyscy pozostali podlegali liderowi. To lider podejmował wszystkie decyzje – zarówno te dobre, jak i niedobre. On skupiał na sobie całą odpowiedzialność, rozpraszał robotę. W takich warunkach zupełnie inaczej buduje się społeczność. Na dworcu wolontariusze w pierwszym odruchu mówili przede wszystkim o tym, że to jest takie równe, że wszyscy są w kamizelkach, nie dostrzegając jednak, że kolory kamizelek nie tylko rozróżniają to, co się robi, ale *de facto* budują strukturę. Jednak to, że jesteś w kamizelce, wcale nie oznacza, że wszystkie kamizelki są takie same. Ten pozór to trochę jak w armii – wszyscy mają mundur, ale są belki czy gwiazdki. Później wolontariusze odkrywali, że jest różnica pomiędzy kamizelkami. Generalnie było tak, że na przykład żółte kamizelki mówiły o tym, że różowe są dla nich guru, bo wiedzą wszystko, albo że na wagę złota są niebieskie kamizelki, bo one są niezwykle ważne, bo tłumaczą. Osoby pomagające rozpoznawały ten system w miarę szybko, choć zdarzały się indywidualne pomyłki. Na przykład osoba, która była fenomenalną organizatorką, nigdy nie założyła pomarańczowej ani różowej kamizelki, bo uważała, że

przyjechała tam na pierwszą linię pomocy, zatem jedynie żółta kamizelka jej odpowiadała. Były to zatem także osobiste strategie, tak jak w przypadku chłopca, o którym powiedziałem, że był najmłodszym wolontariuszem. Dla niego pomarańczowa kamizelka była symbolem sukcesu życiowego, bo w wieku 15 lat poczuł, że ma sprawstwo, w jakimś sensie sprawował kontrolę nad dorosłymi. Innym przykładem jest chłopak, który był bezrobotny, a fenomenalnie się sprawdzał w pomarańczowej kamizelce. Ta kamizelka budowała go społecznie. Spotykałem całą masę żółtych kamizelek, które na co dzień reprezentowały wysokie statusy, pochodziły ze środowisk akademickich albo biznesowych. Na dworcu nie chciały zarządzać, rządzić, a po prostu nosić zupełnych uchodźcom. Czasami osoby w różowych kamizelkach brały na siebie zbyt dużą odpowiedzialność. Organizując nieformalny system pomocy na Dworcu Głównym, weszły w kompetencje państwa... którego tam nie było. Zachowania te nazywam nadodpowiedzialnością obywatelską. Ta kategoria przyszła mi do głowy, kiedy pytałem w wywiadzie grupowym „różowe kamizelki”, dlaczego podjęły się akurat tych zadań. Odpowiedziały, że ktoś to musiały zrobić, że nie było nikogo z władz – miasta, regionu, kto podjąłby te działania, zatem uznały, że powinny to zrobić, zaangażować się i samorganizować. Dlatego książka nosi tytuł: *Kto jak nie my?* Jest to odniesienie do potocznego określenia „damy rady”, tylko że w kategoriach zbiorowych. Badani powiedzieli, że skoro będąc na co dzień dyrektorem biura albo organizując pracę biura, podejmujesz decyzje dotyczące innych osób, to równie dobrze możesz nagle przejąć odpowiedzialność jednocześnie za wojewodę, za prezydenta miasta, za służbę zdrowia. Zdawali sobie sprawę, że przecież ani nie byli w tym zakresie wykształceni, ani nie mieli adekwatnego doświadczenia, ani nawet nie mieli takiej potrzeby, a zdecydowali się, wzięli odpowiedzialność i powiedzieli: „Dobra, ja to zrobię, w porządku”. Po pierwsze, działają tutaj twoje kapitały, po drugie działa twoja ambicja, ale przede wszystkim nadodpowiedzialność. Bierzesz na siebie więcej niż musisz, bo masz poczucie, że ktoś to musi zrobić...

A.K.: Jak definiujesz „odpowiedzialność”?

P.R.: Na przykład: umawiam się, że parkuję w miejscu, które jest płatne, to moja odpowiedzialność polega na tym, że ja jednak za to płacę.

Oczywiście mam świadomość sankcji w przypadku braku opłaty. Jak mnie złapią bez ważnego biletu, to będę miał dużo większą karę. Z drugiej strony, dla mnie odpowiedzialne jest także to, że jak umawiam się z państwem, że za leczenie płacę poprzez składki zdrowotne, to powinienem mieć zapewnione to leczenie... Czasami zdarza się, że państwo nie działa, ale z uwagi na poczucie odpowiedzialności zaczynamy budować nieformalny system pomocy, żeby sobie poradzić. Tak właśnie zadziało się na dworcu we Wrocławiu. Wówczas zamiast zadzwonić na policję, na pogotowie i na straż pożarną, żeby przyjechali zrobić swoją robotę, zorganizowaliśmy się sami, bo wiedzieliśmy, że tak trzeba, bo chociaż służby są w gotowości, to na dworcu nie było widać, żeby działały, a uchodźcy już się pojawiali... Odpowiedzialnością było to, że ktoś przyszedł, ubrał kamizelkę i nosił tę zupeę, załatwiał pieluchy, organizował transport. Miało to swoje wysokie koszty. Wszyscy byliśmy przemęczeni i wypaleni, może nawet dotknęło niektórych PTSD. Pracowaliśmy pod wpływem wielkich emocji, podejmując wiele decyzji obarczonych potężnym ryzykiem. To musiało zostawić ślad w nas wszystkich.

A.K.: Jak można podsumować tę trudną, wielowątkową i bogatą w konteksty historię? Pytam o konsekwencje dla Ciebie i innych wolontariuszy.

P.R.: Jestem zadowolony, że tego doświadczyłem, choć kosztowało mnie to mnóstwo siły, różnego rodzaju wyrzeczeń i działań, których do końca pewnie nie mógłbym racjonalnie wyjaśnić. Wolontariat stał się wtedy rutyną mojego życia. Drugą sprawą zaś były badania społeczne prowadzone wtedy na dworcu – kosztowały mnie wtedy wiele. Musiałem nie raz wyjść poza swoją strefę komfortu. Powstaje jednak książka będąca podsumowaniem, ale też podziękowaniem za to, co zrobiliśmy wspólnie, czego pamięć chciałbym utrwalić. Stąd też tytuł mojej książki trochę nawiązuje do książki Wojciecha Sitka, który mówił w 1997 roku o wspólnotcie i zagrożeniu, ale też o wspólnotcie i jej działaniu. Książkę Sitka uważam za fantastyczną. Zależało mi na docenieniu jej, podziękowaniu za inspirację do zrobienia rzeczy, które mają naprawdę duży sens społeczny, były użyteczne społecznie. Brakowało mi tego, przez lata pracując administracyjnie na uczelni, prowadząc badania, trochę mniej pisząc. I

nagle czujesz, że Twoje wykształcenie naprawdę czemuś służy, a mimo paskudnej, wojennej sytuacji, doświadczasz tego, że potrafimy być solidarni, przyjacielscy i braterscy.

A.K.: Co zatem po kryzysie? Pytam o to, bo myślę, że Twoja książka, tak opisana, tak zinterpretowana, mogłaby być przyczynkiem do budowania polityk – społecznej czy geopolitycznej.

P.R.: Nie marzę o tym, bo wiem, że tego typu książki szybko lądują na półkach bibliotek, nie są w zasadzie czytane i stają się w końcu tańsze niż znaczki, używane do wysyłki w sklepach internetowych, mówiąc tak trochę żartobliwie, ale właśnie w ten sposób nabyłem książkę Sitka. Była tańsza niż przesyłka! Tak naprawdę obawiam się sytuacji, w której stanie się dokładnie to samo, co po powodzi tysiąclecia. To znaczy, skoro wydarza się ona raz na tysiąc lat, to można osiąść na laurach, zaniedbać politykę wobec rzek. Jesteśmy już jakiś czas od wybuchu wojny, która mogła zmienić wiele w zakresie polityki migracyjnej państwa, polityki międzynarodowej. Wydawało mi się, że jesteśmy tuż przed jakąś zmianą społeczną. Jednak nadeszło swoiste rozczarowanie. Myślę, że po prostu to doświadczenie pracy na dworcu zostanie w nas jako pamięć generacyjna – będę pamiętał je ja, ludzie pracujący ze mną na dworcu... Mój syn pewnie będzie pamiętał, jak wychodziłem rano, wracałem potem zmęczony, ale czy to coś zmieni? Nie słysząc o tym, żeby państwo nagle zaczęło opracowywać politykę migracyjną, żeby zaczęło szkolić obronę cywilną, żeby zaczęło przygotowywać ludzi do działań kryzysowych. Minister Czarek nie stworzył programu działań młodzieżowych, grup wolontariatu na wypadek kryzysu, ale podręcznik o biznesie i drugi tom HiT-u. Doświadczylśmy czegoś, co ma miejsce raz na jakiś czas. Są zdarzenia zupełnie niezwykle, które pozwalają wyciągnąć z nas to, co najlepsze, ale też czasami to, co najgorsze, a potem wrócić do zwykłego życia. Głęboko wierzę jednak w to, że ludzi dobrej woli jest więcej, parafrazując klasyka, i oni od czasu do czasu pokazują światu, jak działać. I tego trzeba się trzymać.

Książki, o których jest mowa w wywiadzie:

Chimiak, G. 2016. *The Growth of Non-Governmental Development Organisations in Poland and Their Cooperation with Polish Aid*. Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN.

Grynberg, M. 2023. *Jezus umarł w Polsce*. Warszawa: Wydawnictwo Agora.

Kropotkin, P. 1921. *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*, tłum. Jan Hempel. Wyd. 2. Poznań: Wydawnictwo Księgarni Społecznej „Książka”.

Majer, A. 2015. *Mikropolis. Socjologia miasta osobistego*. Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego.

Polman, L. 2022. *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej*. Wstęp J. Ochojska, tłum. E. Jusewicz-Kalter. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.

Rudnicki, P. 2023. *Kto, jak nie my? Wspólnota i działanie na Dworcu Głównym we Wrocławiu (Marzec-Kwiecień 2023)*. Wrocław: Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej. <http://tinyurl.com/ksiazka-dworcowa> (dostęp: 20.02.2024).

Sadura, P., Urbańska, S. 2021. *Tam, gdzie ich zbierają i „gonią” z powrotem*. <https://krytykapolityczna.pl/kraj/reportaz-badawczy-sadura-urbanska-granica-uchodzczy-wojsko-polisja-straz-graniczna/> (dostęp: 20.12.2022).

Scheffer, P. 2010. *Druga ojczyzna. Imigranci w społeczeństwie otwartym*, tłum. Ewa Jusewicz-Kalter. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.

Sitek, W. 1997. *Wspólnota i zagrożenie. Wrocławianie wobec wielkiej powodzi*. Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.

Materiały audio:

Podcastownia DSW

<https://open.spotify.com/episode/3wtCZeI1vahCtkauyMzg2Z>

<https://open.spotify.com/episode/7obQWwzEb5Rp3gTg4oMbaW>

<https://open.spotify.com/episode/4z5lxYnfw5vxiRuw3fk5qP>

Nota biograficzna / Biographical Note

Paweł Rudnicki – dr hab., pedagog, politolog, profesor na Wydziale Studiów Stosowanych Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW. Naukowo zajmuje się pedagogiką krytyczną oraz edukacyjnymi wymiarami działań organizacji pozarządowych i grup nieformalnych. Współpracuje z organizacjami pozarządowymi zajmującymi się tematyką m.in. edukacji globalnej, edukacji antydyskryminacyjnej oraz praw człowieka. Autor monografii *Oblicza buntu w biografiach kontestatorów. Refleksyjność – wyzwalające uczenie się – zmiana* (2009), *Pedagogie małych działań. Krytyczne studium alternatyw edukacyjnych* (2016), *Kto, jak nie my?* (2023), współautor (wspólnie z M. Pogorzelską) *Przecież jesteście! Homofobiczna przemoc w polskich szkołach – narracje gejów i lesbijek* (2020).